

dra Karla Dedeciusa z *Deutsches Polen-Institut* w Darmstadt. Wtedy też przemianowano jedną z ulic Hanoweru na Janusz-Korczak-Allee.

Mamy trudności we współpracy z Towarzystwem Niemiecko-Polskim Republiki Federalnej Niemiec w Düsseldorfie, które nie jest dla nas zwierzchnim organem. W przeciwieństwie do düsseldorfskiego Towarzystwa popieramy demokrację oddolną (*Basisdemokratie*), która musi się rozwijać w kierunku od dołu ku górze. Według naszych szacunków mamy około 4 000 członków.

Dla Towarzystwa Niemiecko-Polskiego w Hanowerze polityka porozumienia pomiędzy narodami, którą realizujemy na wielu różnych płaszczyznach, jest częścią aktywnej polityki społecznej, prowadzonej na miarę naszych sił, przeważnie w Hanowerze. Oceniając realnie nasze możliwości — musimy stwierdzić, że na szczeblu ponadregionalnym możemy jedynie współpracować z innymi towarzystwami i nie aspirujemy do odgrywania roli przewodniej. Wyżej cenimy skoncentrowaną efektywność aniżeli partykularne trwonienie sił i środków. Prawie wszyscy nasi aktywni członkowie prowadzą jednocześnie bardzo intensywne życie zawodowe.

W spotkaniach z Wami uczymy się rozwijać w sobie nowy rodzaj wrażliwości. Dla nas, obywateli Republiki Federalnej Niemiec, dla których podróżowanie w Europie Zachodniej nie stanowi już żadnego problemu, granice narodowe mają coraz mniejsze znaczenie. Nauczyliśmy się jednak, że — jak to wykazał nasz federalny prezydent von Weizsäcker w swoim ważnym przemówieniu z 8 maja 1985 r. — Wasz kraj, który przez bez mała półtora wieku był pozbawiony bytu państwowego — musi domagać się uznania integralności i nienaruszalności swoich granic, a także — że należy ideę jedności narodu polskiego wysoko cenić.

Możemy jedynie żywić nadzieję, że konstelacje polityki światowej ułożą się tak, jak już ukształtowała się w trakcie naszych spotkań przyjaźń z Wami, obywatelami Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Musimy zatem zdawać sobie sprawę z naszej europejskiej różnorodności i otwarcie reprezentować naszą samoświadomość i wzajemne interesy wobec naszych wielkich sprzymierzeńców. Aby zaś nasze narody mogły się coraz to lepiej rozumieć, muszą więcej o sobie wiedzieć. Staramy się o to poprzez naszą działalność w Towarzystwie Niemiecko-Polskim w Hanowerze oraz przez regularne wizyty w Polsce. [..].

GERTRUD IRMLER

Tłumaczenie: Piotr Podgórski

SKOŃCZMY ZE ŚWIĘTEM 17 CZERWCA!*

17 czerwca, podczas gdy miliony ludzi wyjeżdżają na zieloną trawkę, w *Bundestagu*, jak co roku, odprawia się zaklęcia nad niemiecką jednością. Zjednoczenie Niemiec stało się jednak już dawno podstawowym kłamstwem Republiki Federalnej. Nikt już w nie nie wierzy, ale też nikt nie ma odwagi tego głośno powiedzieć. Czy w ogóle jeszcze chcemy zjednoczenia? Czy byłoby ono dobre dla Europy i dla świata? Czy służyłoby pokojowi? Nadeszła pora rozstania się z pewnym upiorem.

Wielki demagog Ernst Reuter był na szczęście nieobecny w mieście kiedy wybuchły zamieszki. Przypadek chciał, że ojciec miasta bawił właśnie na międzynarodowym

* W podnoszonej wciąż od nowa kwestii tzw. ponownego zjednoczenia Niemiec publikujemy w tłumaczeniu polskim artykuł ogłoszony w tygodniku hamburskim „Stern” nr

dowym kongresie w Wiedniu. Dopiero 16 czerwca wieczorem dowiedział się o wypadkach, które rozegrały się po tamtej stronie Bramy Brandenburskiej. Sektor wschodni opanowało wrzenie. Czołgi radzieckie posuwały się w kierunku centrum miasta. Cała strefa była jak beczka prochu z zapalonym lontem. Rząd Ulbrichta stanął wobec poważnego problemu.

Reuter wpadł w podniecenie. Wydawało się, że wybiła godzina, której od dawna wyczekiwał. Musiał natychmiast, jeszcze tej samej nocy, wrócić do Berlina. Zadzwonił do amerykańskiej jednostki wojskowej i zażądał samolotu. W odpowiedzi obłano go wiadrem zimnej wody: *sorry*, nie dysponujemy chwilowo niestety żadnym samolotem, nawet dla samego burmistrza. Nie, jutro też nie, może pojutrze, *very sorry*. Reuter zawrzał z oburzenia, ale niewiele mu to pomogło. Przez cały dzień 17 czerwca musiał zostać w Wiedniu i mógł tylko w bezsilnej złości słuchać wiadomości radiowych — rozszerzenie rozruchów na całe NRD, okupacja biur partyjnych i siedzib władz miejskich, ogłoszenie stanu wyjątkowego, pogłoski o rozstrzelaniach na podstawie wyroków sądów doraźnych...

„Gdyby nie było radzieckich sił okupacyjnych” — oświadczył burmistrz Berlina Zachodniego w Wiedniu — „poszedłbym zupełnie sam do ratusza w sektorze wschodnim i przejąłbym obowiązki burmistrza całego Berlina wspierany entuzjastyczną aprobatą całej berlińskiej ludności”.

Tego właśnie bali się chyba Amerykanie i temu właśnie chcieli zapobiec. Bo już kiedyś, w czasie blokady Berlina w 1948 r. Reuter omal nie wywołał katastrofy. Podczas gdy w gmachu Sojuszniczej Rady Kontroli czterej gubernatorzy wojskowi pertraktowali jak wyjść z kryzysu, berliński „trybun ludowy” zwołał przed ruinami *Reichstagu* największą w powojennej historii manifestację masową. „Nas nie można za coś wymienić” — wołał do 350 tysięcy zgromadzonych — „o nas nie można pertraktować, nas nie można sprzedać”.

W odpowiedzi tłum ruszył na Bramę Brandenburską, ściągnął stamtąd czerwoną flagę i sposobił się do wtargnięcia do sektora wschodniego, który wówczas nie był jeszcze odgradzony. Rosyjscy żołnierze otworzyli ogień, zginął młody chłopiec. Skutek: radziecki gubernator wojskowy, marszałek Sokołowski zerwał pertraktacje czterech mocarstw, blokada trwała nadal.

Pięć lat później, 17 czerwca 1953 r. sytuacja była jeszcze bardziej wybuchowa. Rosjanie znaleźli się w trudnym położeniu w Niemczech. Najmniejsza iskra z Zachodu mogła spowodować nieobliczalne skutki. Amerykanie wiedzieli o tym równie dobrze jak Rosjanie i ani jedni ani drudzy nie chcieli wojny z powodu Niemiec. Kości zostały rzucone już dawno. Zamieszki nie były teraz na rękę ani jednej, ani drugiej stronie. Dlatego Amerykanie kazali burmistrzowi Berlina Zachodniego dusić się w Wiedniu, aż nie minie najgorsze niebezpieczeństwo. Dopiero wieczorem 18 czerwca Reuter przybył do swojego miasta. Rozruchy w NRD były stłumione [...]. Zachód przyglądał się z założonymi rękoma, jak wschodnie władze okupacyjne robiły porządek w swojej strefie.

Reuter nie zniósł tego upokorzenia. Zmarł trzy miesiące później na zawał serca. Berlińczycy odprowadzali go do grobu jak króla, jednakże Reuter u kresu swego burzliwego życia wiedział już jasno, że przegrał — polityka konfrontacji nie powiodła się. Nadzieja, że przy pomocy mocarstw zachodnich uda się wyprzeć

28/1987 r. z 16 VI. Autor prezentuje tu oryginalny punkt widzenia, który — naszym zdaniem — może zainteresować również polskiego czytelnika, aczkolwiek niektóre sformułowania wydają się nam kontrowersyjne.

Rosjan z Niemiec okazała się iluzją. Jeżeli w ogóle można było doprowadzić do zjednoczenia to tylko w zgodzie z Rosjanami, nigdy przeciwko nim.

Reuter, który jak nikt inny był żywym wcieleniem idei „miasta-frontu” przemienił się po 17 czerwca z zagorzałego ideologa „wypraw krzyżowych” w przeciwnika uzbrojenia Niemiec i w orędownika neutralizacji. „Słowo 'neutralizacja' nie brzmi w Niemczech dobrze” — mówił — „jego sens jest źle rozumiany. Ale jakąś cenę za wycofanie oddziałów radzieckich i zachodnich będziemy przecież musieli zapłacić. Jest nie do pomyślenia, żeby Moskwa zgodziła się na zjednoczenie, które Niemcom jako całości otworzyłoby drogę do integracji z Zachodem”.

Zrozumienie tego przyszło jednak za późno. Po zamieszkach w NRD marzenie o neutralizacji nie było już możliwe do zrealizowania. Jeżeli nawet byli dotąd w Moskwie jacyś zwolennicy tego rozwiązania, to w tym momencie byli przegrani. Wszechmocny Ławrentij Beria, noszący się z taką ideą został po 17 czerwca pozbawiony władzy, a w kilka miesięcy później rozstrzelany. Chruszczow i Malenkow, nowi przywódcy na Kremlu, odwrócili ster polityki w stosunku do Niemiec. Po stanowili przekształcić NRD w podporę obozu socjalistycznego. W ten sposób 17 czerwca, który w Republice Federalnej został groteskowo ogłoszony „Dniem niemieckiej jedności” postawił kropkę zamykającą dramat podziału.

W rzeczywistości nigdy nie prowadzono w Republice Federalnej realnej polityki zjednoczeniowej. Jeżeli zachodni Niemcy mieli kiedykolwiek jakiś wybór, to tylko między dwiema wykluczającymi się nawzajem opcjami: albo integracja z Zachodem i przy tym podział, albo zjednoczenie i neutralizacja. Oba rozwiązania miały swoje uzasadnienia. Nigdy jednak nie była możliwa integracja z Zachodem przy równoczesnym zjednoczeniu.

Konrad Adenauer wiedział o tym, nawet jeśli z właściwym sobie cynizmem podtrzymywał iluzje zjednoczeniowe. Przyjął podział jako fakt historyczny, który zresztą odpowiadał jego wizji świata — Zachód kończył się dla niego na Łabie. Bardzo ozięble odniósł się w 1947 r., na dwa lata przed powstaniem RFN, do chrześcijańskich demokratów ze strefy wschodniej, z przyszłymi ministrami federalnymi Ernstem Lemmerem i Jakobem Kaiserem na czele, którzy opowiadali się wtedy za polityką ogólnoniemiecką, odprawiając ich z kwitkiem. „Zachowanie naszych zachodnioniemieckich przyjaciół bardzo nas rozczarowało” — pisze Lemmer w swoich pamiętnikach. „Od początku robiliśmy wszystko, aby nadać CDU charakter partii ogólnoniemieckiej. Tym bardziej przynębiła nas świadomość, że jesteśmy sami, że działamy w izolacji, że wpływ Adenauera przeważał w tak decydującej sprawie”. W ten sposób warunki podziału Niemiec zostały przygotowane na długo przed powstaniem obu państw.

Głośna monachijska konferencja premierów rządów krajowych w 1947 r. — pierwsze i jedyne po wojnie ogólnoniemieckie spotkanie na najwyższym szczeblu — uświadomiła przedstawicielom strefy wschodniej, że już dawno zostali spisani na straty: szefowie rządów krajowych strefy zachodniej kategorycznie odmówili postawienia na porządku dziennym sprawy jedności niemieckiej. Chcieli i mogli rozmawiać wyłącznie na tematy gospodarcze. Przedstawiciele strefy wschodniej, którzy w większości nie byli komunistami, opuścili wobec tego konferencję „W zachodnioniemieckiej delegacji wielu odetchnęło z ulgą. 'Chwała Bogu mówili', że pozbyliśmy się komunistów” — pisze Reinhold Maier ówczesny prezes rady ministrów Badenii Wirtembergii, jeden z nielicznych, obecnych na konferencji zwolenników zjednoczenia.

Do powstania zachodnioniemieckiego państwa doszło dwa lata później z rozkazu aliantów i pod ścisłą kontrolą gubernatorów wojskowych. Nie było to specjalnie w smak niemieckim szefom rządów krajowych. Wiedzieli, że utworzenie państwa na części terytorium niezwykle utrudni lub nawet na zawsze udaremni zjednoczenie Niemiec. W skierowanym do gubernatorów wojskowych memorandum żądali „uniknięcia wszystkiego, co powstającemu tworowi nadawałoby charakter państwa”. Uważali za konieczne „uwidocznić, że chodzi tylko o prowizorium”.

To „prowizorium” rozkwitało tymczasem wspaniale i im dalej postępowała integracja z Zachodem tym mniej przekonujące było biadolenie nad podziałem Niemiec. Hasło „zjednoczenie” stało się samooszustwem, potrzebnym do życia wielkim kłamstwem Republiki Federalnej — halucynacją, która zachodnim Niemcom pozwalała stłumić wyrzuty sumienia w stosunku do „braci i siostr na Wschodzie”, których zostawili na łaskę losu, podczas gdy sami wsiedli do łodzi niosącej ich ku Zachodowi.

Godzina prawdy wybiła w 1952 r., kiedy to Stalin zaproponował zjednoczenie i neutralizację Niemiec. Próżno by się teraz spierać, czy jego historyczna nota była rzeczywiście poważną propozycją, pozostaje jednak faktem, że ani rząd federalny, ani mocarstwa zachodnie nie próbowały nawet tego dociekać. Stanowczo zdecydowano uzbroić Republikę Federalną i włączyć ją do zachodniego sojuszu. Przypuszczenie, że Rosjanie mogliby potraktować serio ewentualność zjednoczenia wywołało popłoch. „Przyjąłem więc z zadowoleniem fakt — pisze w swoich pamiętnikach Adenauer — że trzy mocarstwa zachodnie poprzez swoich wysokich komisarzy zakomunikowały mi bezpośrednio po ujawnieniu rosyjskiej noty, że rokowania w sprawie sojuszu europejskiego i w kwestii niemieckiej będziemy kontynuować tak, jakby tej noty nie było!”. Natomiast Heinrich von Brentano, przewodniczący frakcji parlamentarnej CDU/CSU oświadczył wówczas w *Bundestagu*: „Panie i Panowie, uważam za rzecz oczywistą, że nie akceptujemy takiego rozwiązania, jakie zaproponował Stalin, ani nawet nie uważamy, żeby było godne dyskusji”. Tak potraktowano w siedem lat po wojnie wschodnie mocarstwo, byłego sojusznika, który miał w swych rękach klucz do zjednoczenia.

Taka szansa się już nie powtórzyła. Reakcją na uzbrojenie strony zachodniej było uzbrojenie strony wschodniej. Oba państwa niemieckie zostały wcielone do swoich bloków wojskowych. Tym samym wielkie mocarstwa uznały kwestię niemiecką za załatwioną. Kiedy w 1961 r. Chruszczow stawiał berliński mur, Kennedy, podobnie jak Eisenhower 17 czerwca, nie miał zamiaru interweniować.

Prezydent nie rozumiał, dlaczego Niemcy tak się denerwują. Dla niego mur był dowodem, że Chruszczow zrezygnował z roszczeń w stosunku do Berlina Zachodniego. „Czy stawiałyby mur, jeżeli chciały zagarnąć Berlin Zachodni?” — mówił podczas odbywającej się w Białym Domu narady na temat aktualnej sytuacji — „Jest to sposób Chruszczowa na wyjście z tarapatów. Nie jest to zbyt piękne rozwiązanie, ale taki mur jest zawsze sto razy lepszy od wojny”, co nie przeszkodziło prezydentowi w czerwcu 1963 r. przed ratuszem w Schönbergu zawołać patetycznie do mieszkańców Berlina Zachodniego: „Jestem Berlińczykiem!”.

Mur oznaczał ostateczne załamanie się polityki siły. Republika Federalna zaczęła się też powoli godzić z realiami, do których sama doprowadziła. Mimo to upiór zjednoczenia trwał niewzruszenie i to nie tylko w niedzielnych przemówieniach polityków. Dokładnie w momencie kiedy socjaldemokratyczny rząd federalny uznał NRD, wyciągając tym samym konsekwencje z polityki Adenauera, w tym sa-

mym momencie Federalny Trybunał Konstytucyjny podniósł iluzję do rangi doktryny państwowej — oto przykład niemieckiej schizofrenii.

Sędziowie z Karlsruhe w swojej wykładni prawnej zrobili z ogólnikowego stwierdzenia we wstępie do konstytucji, „wzywającego” Niemców do „doskonalenia jedności i wolności Niemiec” zobowiązujący nakaz konstytucyjny — powinność łączącą na stałe politykę z fatamorganą: „Zadnemu organowi konstytucyjnemu” — stwierdza się w wyroku — „nie wolno odstąpić od politycznego celu, jakim jest odtworzenie państwowej jedności; wszystkie organy konstytucyjne zobowiązane są dążyć do tego celu i unikać wszystkiego, co mogłoby udaremnić zjednoczenie”.

Zgodnie z takim wyrokiem nigdy nie powinno było dojść do odbudowy sił zbrojnych ani do przystąpienia do NATO czy do EWG. Nie to jednak oczywiście miano na myśli. Ten wyrok Trybunału Konstytucyjnego zawierający fantastyczne stwierdzenie, że „Rzesza Niemiecka nadal istnieje” był isticie niemiecką próbą prawnego „utrwalenia” tego, co historycznie było już przebrzmiałe. „Organy konstytucyjne” — parlament, rząd, prezydent — przyjęły orzeczenie posłusznie do wiadomości, jakby chodziło o dogmat Stolicy Apostolskiej, któremu nie można się sprzeciwić pod karą ekskomunikacji. Chociaż konkretnych faktów ten nieszczęsny wyrok w żaden sposób zmienić nie mógł, to jednak zadbał o to, aby politykę niemiecką nadal zatruwała obłuda. Nikt już nie wierzy w zjednoczenie, ale równocześnie nikt nie odważa się wyciągnąć z tego wniosków. Nieśmiertelne kłamstwo zyskało rangę obywatelskiej powinności.

Jest więc możliwe, że w najbliższych tygodniach wzniecona zostanie w Republice Federalnej upiorna debata nad zjednoczeniem, jakby bliski był już dzień, w którym Niemcy z obydwu państw ze wzruszeniem padną sobie w ramiona. Podczas gdy w polityce międzynarodowej zaczyna się wreszcie pomału zaznaczać zwrot w kierunku odprężenia, szef frakcji CDU w *Bundestagu* każe opracować dokument żądający rozpatrywania problemów rozbrojenia w połączeniu z kwestią zjednoczenia Niemiec — tak oto Niemcy mieliby szantażować światowe mocarstwa. „Nigdy jeszcze” — stwierdza w swoim „wspaniałym” dokumencie poseł Bernhard Friedemann — „nie mieliśmy tak korzystnej okazji osiągnięcia postępu w kierunku rozwiązania naszego narodowego problemu w imię dobra wszystkich zainteresowanych”. W takich nierealnych kategoriach nie myślą nawet najgłupszy kawiarniani politykierzy.

Problem w tym, jak długo jeszcze zechcemy to znosić. Jak długo jeszcze zaciągnięci politycy będą mogli udaremniać politykę realistyczną wymachując zjednoczeniowymi przykazaniami. Jak długo jeszcze mamy kłaniać się strachowi na wróble, który urąga naszemu umysłowi i rozsądkowi, a tym samym naszej godności.

Chodzi nie tylko o to, czy zjednoczenie jest możliwe, ale i o to czy byłoby pożądane — dla naszych wschodnich i zachodnich sąsiadów z pewnością nie. Oba państwa niemieckie stanowią od dawna istotny element swoich obozów politycznych, są w nich gospodarczymi potęgami i „prymusami”. Połączenie tych dwóch „prymusów” doprowadziłoby nie tylko do rozbicia obozów, ale wytrąciłoby z równowagi całą Europę. Znowu byłibyśmy największy i najsilniejszy, no i oczywiście najbardziej niespokojni — rojąca się, przeszło siedemdziesięciomilionowa masa wściekłych Niemców, szukających znowu bliżej nieokreślonego miejsca między Wschodem a Zachodem, najlepiej z własnymi raketami, lub nową cudowną bronią, jaką byśmy sobie wynaleźli — oto wizja przerażająca naszych wrogów i przyjaciół, jeżeli w ogóle mielibyśmy wtedy jeszcze przyjaciół. Włoski minister spraw zagranicznych, chrześcijański demokrat Andreotti wyraził to krótko: „Są dwa państwa niemieckie i dwa mają zostać”.

A my? Czy rzeczywiście chcemy „niemieckiej jedności”? Czy naprawdę chcemy odwrócić bieg historii? Czy chcemy przekreślić nasz związek z Zachodem, bo bez tego by się przecież nie obyło? Czy chcemy przywrócić do życia organizm państwowy, który wywołał dwie wojny światowe? Czy my z Zachodu stanowimy jeszcze z mieszkańcami NRD w ogóle jeden naród? Czy nie staliśmy się inni? Czy nie oddaliliśmy się bardzo od naszych wspólnych korzeni, Republika Federalna pod pewnymi względami nawet bardziej niż NRD? Czyżby dawne Niemcy, Niemcy przedhitlerowskie nie zostały na zawsze pogrzebane pod gruzami historycznej katastrofy?

Już czas, żeby Republika Federalna postawiła sobie te pytania i żeby przezwyciężyła wreszcie sprzeczność, w której tkwi od chwili swego powstania — jest państwem, które samo siebie nie akceptuje. Państwem, które 17 czerwca święci corocznie kres pewnej nadziei, ale za to początek innej nadziei, 23 maja, czyli datę swego powstania pomija milczeniem. Innymi słowy, jest państwem, które do dziś nie odnalazło własnej tożsamości. „Powodowani bezkompromisową miłością do nieosiągalnego Niemcy zaprzepaszczą to co osiągalne — to typowe dla nich zachowanie powtarza się na przestrzeni dziejów od czasów Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego” — stwierdza w swej książce *Unfähigkeit zu trauern* (*Niezdolność do smutku*) psychoanalityk Aleksander Mitscherlich.

Może uda się kiedyś przerwać ten zamknięty obieg złudzeń, który przyniósł światu tyle nieszczęść. Zróbmy skromny początek: znieśmy święto 17 czerwca! Przestańmy obrażać pamięć nieszczęśliwych ofiar tego dnia celebrując z pompą akademie ku czci zjednoczenia, lub wyjeżdżając na zieloną trawkę.

HEINRICH JAENECKE

Tłumaczenie: Kornelia Śmigielska